

Patricia Morgan, *Marriage-Lite: The Rise of Cohabitation and Its Consequences*, London: Institute for the Study of Civil Society 2000, ss. VIII + 118.

Pisarz amerykański Mark Twain powiedział kiedyś, że istnieją trzy rodzaje fałszu: „kłamstwa, cholerne kłamstwa i statystyka”. Każdy wie, jak można zniekształcić statystykę, by „dowieść” politycznej poprawności. Jednak od czasu do czasu pojawia się uczony socjolog, by potwierdzić to, czego Kościół nauczał od zawsze, ale światu przewrażliwionemu na punkcie wiary dostarcza on preferowaną przez nowoczesność jej alternatywę: liczby.

Patricia Morgan jest jednym z takich socjologów. Jej badania dla londyńskiego Instytutu Studiów nad Społeczeństwem Obywatelskim (Institute for Study of Civil Society, <http://www.civil-society.org.uk>; Mezzazine, Elisabeth House, 39 York Road, London SE1 7NQ) skupiają się na polityce rodzinnej, szczególnie na współczesnym fenomenie wspólnego zamieszkiwania, czyli konkubinatu. A liczby są tu przerażające.

Dlaczego studium to dotyczy Polski? Wprowadzie wspólne zamieszkiwanie nie jest w Polsce tak rozpowszechnione jak na Zachodzie, jednak rosnące kontakty z krajami zachodnimi sprawiają, że prawdopodobieństwo wpływów stamtąd na opinię w Polsce może być wielkie. Na Zachodzie występuje ponadto szczególnie groźne zjawisko: zacieranie różnic prawnych między małżeństwem a innymi układami (często określanymi jako „partnerstwo”) w celu uniknięcia „dyskryminacji” wynikającej z ulg przyznawanych małżeństwu. Wprowadzenie do ustawodawstwa równości prawnej między małżeństwem a „partnerstwem”, co nastąpiło już w Skandynawii, Holandii i Francji, sprawia, iż wielce prawdopodobne jest wywieranie na Polskę presji, by poszła ona za tymi „postępowymi” rozwiązaniami na wzór wiodących w Unii Europejskiej państw, a tym samym udowodniła swą „europejską tolerancyjność”.

W powszechnym mniemaniu wspólne zamieszkiwanie wydaje się być wstępem do małżeństwa, środkiem prowadzącym do upewnienia się co do wzajemnej zgodności, zanim nastąpi stały związek. Jednak zgodnie z nowoczesnym stanowiskiem, iż żaden „styl życia” nie może być preferowany kosztem drugiego (zwłaszcza na płaszczyźnie moralnej), wspólne zamieszkiwanie powinno także być respektowane jako zjawisko autonomiczne, a nie jako przedproże do małżeństwa.

Morgan wykazuje, że uzyskane dane nie zawierają żadnego potwierdzenia dla tych przesłanek. Uwzględniając dane z Europy, Australii i Ameryki ukazuje ona, że:

* wspólne zamieszkiwanie jest zazwyczaj krótkotrwałe (przeciętnie 15-19 miesięcy przy założeniu bezdzietności) i poprzedza albo zawarcie małżeństwa albo też rozpad konkubinatu. Jako zjawisko samoistne współżycie to jest zdecydowanie kruche.

* Wspólne zamieszkiwanie, którego rezultatem jest dziecko, wykazuje podobne słabości. Tylko 8.7% kobiet brytyjskich pozostawało nadal w ciągu 10 następných lat w konkubinacie z mężczyzną, z którym miały dziecko.

* Liczba rozwodów pośród konkubinariuszy, którzy zawarli małżeństwo, jest większa niż wśród tych, którzy przed małżeństwem nie żyli wspólnie.

* Przemoc wśród konkubinariuszy występuje w większym stopniu niż wśród małżonków. Środowiskiem szczególnie toksycznym dla dziecka jest dom, w którym żyje mężczyzna z nim nie spokrewniony ani nie związany sytuacją legalną.

* Mężczyzna żyjący w konkubinacie gorzej zarabia, posiada mniej szans zawodowych i słabszą etykę pracy. Jest on także bardziej skłonny do korzystania z zasiłków lub innych źródeł pomocy społecznej. Według danych ze Stanów Zjednoczonych z roku 1996 6% dzieci żyjących w rodzinach normalnych znajdowało się poniżej granicy ubóstwa. Wśród konkubinariuszy w sytuacji tej było 31% dzieci.

Ostatnie studium Morgan, *Marriage-Lite: The Rise of Cohabitation and Its Consequences* jest bogate w statystyki dostarczające m. in. przekonujących dowodów na to, że konkubinaty jest szkodliwy dla każdego (z wyjątkiem może mężczyzn hołdujących czystemu hedonizmowi) i z pewnością reklamuje się on jako coś, czym w rzeczywistości nie jest. Jednak niezależnie od liczb Morgan przytacza także inny użyteczny w jej badaniach wymiar: komentarz na temat społecznego oddziaływania konkubinatu. Ukazuje ona, że ów rodzaj skrzywionego liberalizmu, który tak krzykliwie zaleca pluralizm, nie spotyka się bynajmniej z neutralną akceptacją społeczną konkubinatu. Podważa on bowiem nieuchronnie małżeństwo jako instytucję. Doniosłych dobrodziejstw społecznych (takich jak zdrowa rodzina i gwarancja praw do dziedziczenia) kojarzonych z małżeństwem (z racji jego roli w utrzymaniu stabilności społecznej, także poprzez wychowanie dzieci) nie można kawałkować i przydzielać poszczególnym „partnerom”, bez względu na to, jak dwoje ludzi zechce swój związek nazywać. Rozkładowe skutki wspólnego zamieszkiwania „na słowo” (co ukazuje duży procent rozwodów wśród tych par, rosnący raczej aniżeli malejący) sprawiają, że ci, którzy chcą zawrzeć małżeństwo (według tradycyjnego rozumienia tego słowa), nie mogą tego uczynić: małżeństwu tradycyjnemu brakuje wsparcia społecznego. „Małżeństwo jest mniej wiążące niż umowa o pracę, rozwód bez konieczności stwierdzenia przyczyn w postaci winy i rozwód jednostronny zachęca do oportunistów, obniża koszty odejścia współmałżonka i pozbawia pomocy tę stronę, która nie chce rozwiązania swego małżeństwa” (s. 82).

W ostatnich latach szereg socjologów zaczęło zbierać dane sugerujące, że na polu rodziny nauczanie Kościoła nie jest bez znaczenia. Narodowy Program dotyczący Małżeństwa (*National Marriage Project*, <http://marriage.Rutger's.edu>) na Rutgers University w Stanach Zjednoczonych zgromadził ważne dane dotyczące tego kraju. Patricia Morgan w swych studiach, możliwych do zamówienia w podanej wyżej witrynie sieciowej, potwierdziła te rezultaty jako miarodajane dla Wielkiej Brytanii. Jej dzieło zasługuje na uwagę wszystkich zainteresowanych polityką rodzinną rządów. W świecie, w którym panują przekonania, że polityka społeczna posiada najmniejszy wspólny mianownik moralny, katolicy winni się uzbroić w fakty.

John M. Grondelski
Seton Hall University, USA